

Zapomniana rocznica fikcji, czyli weryfikacji SB

<http://niezalezna.pl/86100-zapomniana-rocznica-fikcji-czyli-weryfikacji-sb>

Dodano: 15.09.2016 [17:28]



foto: GP

W toku politycznej burzy o Trybunał Konstytucyjny, kompromitacji środowiska sędziowskiego i zmian w IPN-ie kompletnie zapomniano podczas wakacji o ważnej rocznicy – 26 latach od weryfikacji kadr dawnej Służby Bezpieczeństwa. Wysłuchania funkcjonariuszy SB w wojewódzkich komisjach kwalifikacyjnych i zatrudnienie ogromnej części z nich w nowych służbach specjalnych nazaczyły historię III RP. Odtąd na wielu aferach gospodarczo-politycznych w Polsce swój stempel przybijali ludzie dawnego aparatu bezpieczeństwa.

Sławna weryfikacja SB rozpoczęła się w lipcu 1990 r. i trwała do września tego roku. Nad procesem odsiewania – tylko w teorii – esbeków czuwała Centralna Komisja Kwalifikacyjna z szefem MSW Krzysztofem Kozłowskim na czele. Szefostwo UOP, policji i MSW, a na szczeblu wojewódzkim – dwaj posłowie i senator z danego województwa, komendanci wojewódzcy policji i naczelnicy delegatur terenowych UOP – to właśnie od nich zależało to, kto otrzyma pracę w Urzędzie Ochrony Państwa, który miał być budowaną od podstaw, elitarną służbą specjalną. I znów – tylko w teorii.

Przychyłość opozycji

Pozytywnie zweryfikowani esbecy mogli spokojnie oczekiwać na „ciągłość w pracy operacyjnej”, tym razem w nowym systemie. Ci, którzy otrzymali negatywną decyzję od wojewódzkich komisji, składali bardzo często odwołania do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej. Oprócz Kozłowskiego zasiadali w niej Andrzej Anklewicz, Jerzy Ambroziak, Jerzy Ciemniewski i Jacek Merkel. Ekscyzjonkowie antykomunistycznej opozycji byli dla funkcjonariuszy SB bardzo przychylni: na 4,5 tys. zażaleń, które do nich trafiły, do nowych służb przyjęto ponad 3 tys. przypadków. Działania

ministra Kozłowskiego wywołały oburzenie wielu weryfikujących w terenie. Jednym z nich był Zbigniew Wassermann, uczestnik procesu weryfikacji SB w Krakowie. „Nasza praca była niepotrzebna, trzeba było od razu powiedzieć, że to będzie zabawa. Większość z nas położyła tutaj na szalę cały swój autorytet. Potraktowano nas niepoważnie” – mówił lokalnym mediom krakowski prokurator, który zginął w Smoleńsku 20 lat później. W Tarnowie na znak protestu członkowie komisji zrezygnowali z dalszych przesłuchań esbeków.

Niepoważnie jednak traktowali swoją pracę sami weryfikujący potężne i nadal wpływowe kadry SB. Po latach członkowie komisji wojewódzkich sami przyznają, że nie mieli żadnej wiedzy o specyfice pracy bezpieki – poza własnymi doświadczeniami z okresu przebywania w ośrodkach internowania i w więzieniach, nie dysponowali niezbędnymi dokumentami, a musieli polegać na łasce pracowników Wydziałów „C”, czyli komunistycznego archiwum. Wielu z nich przetrwało weryfikację i pracowało jak gdyby nigdy nic w służbach specjalnych III RP aż do 2003 r. – jak np. Tadeusz Sułkowski, były członek Grupy „D”, atakującej Kościół w latach 80.

„Akta przepracowaliśmy bardzo drobiazgowo, analiza spoczywających tam w teczkach pochwał, nagród, wyjazdów zagranicznych, awansów pozwalała na wyrobienie sobie opinii o człowieku; mówiąc krótko – nawet te papiery oskarżały. (...) Doświadczenie pięciu członków komisji, dłużej niż 10 lat będących częstymi klientami SB też miało swoją wagę. Nie korzystaliśmy natomiast – choć mogliśmy – z kartotek tajnych współpracowników” – przyznawał Leszek Smagowicz, zasiadający w krakowskiej komisji w 1990 r.

Muszą zostać

Przed obliczem komisji weryfikacyjnych stanęło ok. 14 tys. funkcjonariuszy SB, pozytywne decyzje wydano dla ponad 8,5 tys. z nich. Dodajmy do tego pozytywne odwołania, wydane decyzją CKK, i okaże się, że do UOP-u prześlizgnęło się więcej niż 10 tys. esbeków. Najczęściej do weryfikacji w ogóle nie podeszli naczelnicy wydziałów, wysocy rangą oficerowie nierzadko byli odsyłani do domów. Nie można tego samego powiedzieć o strukturach wywiadu i kontrwywiadu, pionów paszportowych, obserwacji i technicznych – te pozostały niezmienione. W dodatku pobłażliwość dla „techników” komunistycznej bezpieki tłumaczono rzekomą fachowością. „Oni często nie wiedzieli, komu i po co zakładają mikrofon czy za kim chodzą. Stąd do tych służb mam najmniejsze pretensje” – wyznał 26 lat temu w jednym z wywiadów Krzysztof Kozłowski. Z kolei Andrzej Milczanowski, kolejny szef UOP-u, dodawał: „Pewna kadra wywiadu i kontrwywiadu musi pozostać. Nie można z góry odmawiać dobrych intencji ani podważać lojalności tych, którzy zostali”.

Patologią, wyśmianą już w kultowym filmie „Psy” Władysława Pasikowskiego, było uczestnictwo w komisjach weryfikacyjnych tajnych współpracowników SB. W Poznaniu, jak podawał przed dekadą „Głos Wielkopolski”, zasiadało tam przynajmniej trzech TW. W samej centrali z Kozłowskim współpracował Andrzej Anklewicz, były funkcjonariusz SB w stołecznym Wydziale III,

zajmującym się inwigilacją opozycji antykomunistycznej. W komisjach wojewódzkich mogło dochodzić do nacisków na weryfikujących, a w kilku wypadkach to sami członkowie opozycji wstawiali się za swoimi oprawcami – jak w wypadku płk. Jana Lesiaka, który mógł pracować w UOP-ie w latach 90., bo poręczył za niego Jacek Kuroń. Dochodziło do komicznych sytuacji, gdy listy do członków komisji weryfikacyjnych w obronie wyrzucanych z pracy esbeków wysyłali... księża.

„Nie jesteśmy trybunałem sumienia”

W nowych służbach odnaleźli się znakomicie spece od prowokacji, zakładania podsłuchów, pobic, dezinformacji i ukręcania śledztw. Pytanie, na które nie ma jasnej odpowiedzi, brzmi: dlaczego elity „solidarnościowe” wykazały tak daleko posuniętą tolerancję i naiwność, przez co zapłaciliśmy w ciągu 25 lat wieloma aferami i budowaniem sfer wpływów przez byłych funkcjonariuszy SB? Jedną z przyczyn mogło być zwyczajne niedbalstwo i niezajomość spraw związanych z szeroko pojętym bezpieczeństwem. Opozycja latem 1990 r., ponad rok po Okrągłym Stole, była nadal skupiona na sukcesie wyborczym z 4 czerwca 1989 r. Najważniejszym działaczom bardziej zależało na sprawach gospodarczych i stricte politycznych niż na budowie silnych służb specjalnych niepodległego państwa. Przecież w służbach wojskowych o żadnej weryfikacji nie było mowy przez długie lata. Wielu opozycjonistów zwyczajnie obawiało się potęgi służb i mogło uznać, że możliwy jest nie tylko „bunt generałów”, ale i funkcjonariuszy – mających ogromne dossier na temat wielu działaczy z lat 80. To wszystko są hipotezy warte dyskusji przy okazji zapomnianego przez opinię publiczną wydarzenia, jakim była weryfikacja SB.

A może powód jest jeszcze inny? W okólniku do wojewódzkich komisji weryfikacyjnych prof. Jan Widacki – były wiceminister spraw wewnętrznych w latach 90., adwokat m.in. funkcjonariuszy SB – pisał tak:

„Dokonując tej oceny, musimy pamiętać, że nie jesteśmy trybunałem sądzącym w oparciu o »rewolucyjne sumienie« – ale stosującą prawo instytucją demokratycznego państwa i suwerennego narodu, przynależnego od 1000 lat do kręgu chrześcijańskiej kultury zachodniej. Musimy pamiętać, że to dziedzictwo zobowiązuje nas. W kręgu chrześcijańskiej kultury zachodniej odróżnia się wymierzanie sprawiedliwości od zemsty. Odrzuca się odpowiedzialność zbiorową, oceniając winę poszczególnych ludzi. Oskarżyciel musi dowieść winę, a nie oskarżony niewinność. Wątpliwości – interpretuje się na korzyść oskarżonego”.

Postesbecja pilnuje IPN-u

Chrześcijańskie miłosierdzie Widackiego pozwoliło na to, by funkcjonariusze uniknęli odpowiedzialności karnej za przestępstwa – włącznie z morderstwami – które opisuje m.in. słynny raport Rokity. Po karierze w SB – ewentualnie w UOP – zakładali oni agencje

ochroniarskie, a biznes ten miał wzięcie w bankach, domach publicznych, supermarketach, a nawet – to chichot historii – w krakowskim oddziale IPN-u, który ochraniała do niedawna pierwsza esbecka firma Dyskam, założona w Krakowie. Esbecy robili interesy nawet z kuriami, współpracując ze swoimi dawnymi źródłami informacji. Inni wylądowali w bankach, zostali doradcami finansowymi, budowali drogi, działali w towarzystwach sportowych. Znają doskonale do dzisiaj półświatek przestępczy, z którym pili wódkę od lat 70. To niebezpieczne towarzystwo, „firma”, jak do dzisiaj o sobie mówi, mogło uzyskać takie wpływy i pobierać horrendalnie wysokie emerytury, bo popełniono ciężki grzech w 1990 r. Obecnie, szczególnie ci wyżej postawieni, śmieją się z całej weryfikacji, powtarzając rozbawieni: fikcja. W tym jednym trudno się z nimi nie zgodzić.